

Słynna opera w nowym wydaniu

LZY PŁYNĄ DO OCZU

To spektakl o wypaleniu i śmierci. „La Boheme”

Giacomo Pucciniego w reżyserii Barbary Wysockiej w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej nie budzi łatwego zachwytu, choć nie brakuje widowiskowych scen.

Anna S. Dębowska

Na premierę „La Boheme” w Teatrze Wielkim czekałszyśmy z niecierpliwością. Poprzedni spektakl Barbary Wysockiej, inscenizacja „Toski” Giacomo Pucciniego w Operze Narodowej, był wyrazistym głosem w kwestii autorytaryzmu i nadużywania władzy. Reżyserka wydobyla obecny w librecie temat molestowania seksualnego i traktowania seksu jak karty przetargowej. Co ciekawe, inscenizacja „Toski” miała premierę w 2019 r., czyli na długo przed burzliwą dyskusją przy okazji ujawniania kolejnych przypadków molestowania i przemocy w polskim teatrze.

CHOROBA JEST METAFORĄ

„La Boheme” Pucciniego, częściej grana w Polsce jako „Cyganeria”, przepelniona jest piękną muzyką i należy do najchętniej wystawianych oper. W 1896 r., zanim stała się przebojem scen operowych, była próbą odniesienia się do palących tematów społecznych tamtych czasów, takich jak pauperyzacja środowisk artystycznych dziesiątkowanych przez gruźlicę. Puccini, który sam zaznał nędzy w czasach studenckich, sięgnął po książkę „Sceny z życia cyganerii” Henriego Murgera, ukazującą vegetację paryskiej bohemy. Tak narodził się weryzm. W XX w. tę operę Pucciniego postrzegano często jak uroczą bajeczkę z dawnych lat z łzawym zakończeniem, a to przecież – w czasach, gdy klasa średnia staje się prekariatem – wciąż aktualna krytyka społeczna.

Barbara Wysocka mówiła w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, że w „La



• W duecie miłosnym Mimi (Adriana Ferfecka) i Rodolfo (Davide Giusti) była mieszkanka zalotności, tęsknoty i smutku

Boheme”, której inscenizację zamówił u niej Teatr Wielki – Opera Narodowa, brakuje wyraźnego politycznego konfliktu. A przecież jej sednem nie jest miłość czy wesołe zabawy kompanii młodych artystów, którzy mimo głodu i mrozu świetnie czują się w swoim towarzystwie.

Sednem „La Boheme” jest choroba i śmierć. Po pięknych dniach miłości i zabawy (akty I i II) następuje tragedia, zderzenie najpierw z trudami życia, a potem ze śmiercią (akty III i IV).

Stąd w przedstawieniu Wysockiej wyraźna aluzja do musicalu „Rent” Jonathana Larsona, w którym chorobą jest nie gruźlica, lecz AIDS. Tak się złożyło, że gdy Wysocka zaczęła pracować nad „La Boheme”, w naszą rzeczywistość wtargnęła pandemia. Po pięknych czasach prosperity nadeszły dni naznaczone wyciem karetek.

Premiera „La Boheme” miała się odbyć w ubiegłym roku. Została odwołana z powodu kolejnego lockdownu. W tym czasie w życiu reżyserki wydarzyła się tragedia. Z powodu pandemii niemal z dnia na dzień odeszły dwie najbliższe jej osoby, a i ona sama poważnie chorowała. Pytanie o to, czy te doświadczenia miały wpływ na koncepcję reżyserską, wydaje się w tej sytuacji truizmem.

Jak mówi Barbara Wysocka, nie chodzi tylko o pandemię. Państwo nie daje nam

poczucia bezpieczeństwa, kobiety muszą protestować, polska Straż Graniczna nieudźko traktuje uchodźców na granicy polsko-białoruskiej, rząd lekceważy ekologię i zagrożenia dla zdrowia i życia obywateli związane z zatruciem powietrza.

Już na początku niemy kolorowy film ukazuje subtelną twarz Mimi. To dziewczyna, która wydaje się mieć całe życie przed sobą i kocha z wzajemnością, ale wiemy, czujemy to, że jej już nie ma – to, co wyświetla się na ekranie w całkowitej ciszy, jeszcze przed uwerturą, to już tylko cień osoby, która odeszła nagle i nigdy nie wróci. Ile takich twarzy oglądaliśmy ostatnio choćby na Facebooku z dopiskami, że „odszedł nieoczekiwanie”, „ku całkowitemu zaskoczeniu”, „umarła w sile wieku”, a jeszcze tydzień temu był lub była na chodzie, pełen energii i wiary w życie.

Choroba Mimi jest tylko metaforą i nic już nie będzie takie, jak było. Wszystko, co piękne i wesołe, minęło bezpowrotnie – to przekonanie silnie wpłynęło na kształt sceniczny „La Boheme” w reżyserii Wysockiej.

Nadużyciem byłoby jednak twierdzenie, że to spektakl o pandemii, umieraniu na COVID i cierpieniu, jakie odczuwają najbliżsi po nagłym odejściu ukochanej osoby. Wysocka jest zbyt dobrą reżyserką, aby sięgać po mówiące wprost sygnały.

ZABAWA I KATASTROFA

Spektakl dzieli się formalnie na dwie części. Pierwsza to dwa akty opery Pucciniego. Poznajmy najpierw wesołych chłopaków: poetę Rodolfa (Davide Giusti), muzyka Schau-narda (Sławomir Kowalewski), malarza Marcella (Ilya Kutyukhin) i filozofa Colline’a (Jerzy Butryn). To hipsterzy w skórach i dresach, mieszkający w jakiejś dawnej fabryczce czy magazynie, który podzielono na mieszkania przypominające więzienne cele. Istotnie, żelazna konstrukcja stworzona przez scenografkę Barbarę Hanicką przypomina budynek więzienia.

Czterej przyjaciele głodują i marzną, ale nie tracą artystycznej weny i dobrego humoru. Bawią się wybornie, robiąc psikusy właścicielowi domu (Grzegorz Szostak). Muzyka Pucciniego istotnie w I akcie skrzy się humorem i wesołością, co świetnie wydobyl dyrygent Patrick Fournillier.

Gdy Rodolfo zostaje na pewien czas sam, w jego „celi” zjawia się Mimi (w tej roli obdarzona pięknym sopranem Adriana Ferfecka). W ujęciu Wysockiej jest to zwyczajna dziewczyna ubrana w ciuchy z lumpeksu, delikatna, ale dość prostoduszna, wcale nie zjawiskowa, ale wrażliwa.

Oboje śpiewają swój pierwszy duet miłosny. Można było mieć dużo zastrzeżeń do premierowej formy Davide Giustiego,

którego głos brzmiał na początku surowo i dość chłodno, a duet też pozostawiał sporo do życzenia, jakby Giusti i Ferfecka śpiewali każde dla siebie i również „obok” orkiestry. Ale dzięki reżyserce dzieje się coś niezwykłego w trakcie tego duetu – epizodyczne postacie stawiają na scenie coraz więcej świateł, właściwie zniczy. Ciepła aura otacza Rodolfa i Mimi. To symbol rodzącej się miłości, ale też zapowiedź śmierci dziewczyny.

Gdy oboje decydują się pójść na imprezę, rozpoczyna się II akt opery, dekoracja się odwraca i żelazna budowla okazuje się tylną częścią gigantycznego napisu „La Vie Boheme” (aluzja do wspomnianego musicalu „Rent”), który teraz rozbłyskuje światłami wielkiego miasta. Dzieci się bawią i śpiewają (chór dziecięcy Artos), dorośli także – scena przypomina olbrzymie lodowisko. Może to nowojorski Central Park, a może inne miejsce, gdzie mieszkańcy metropolii mogą chwilę побыć razem.

Na scenę wkracza zalotna Musetta (Aleksandra Orłowska) podwieszona czerwonym kabrioletem przez bogatego zalotnika (Paweł Czekala) – istotnie, samochód wjeżdża na scenę, a Musetta śpiewa swą słynną arię otoczona przez kelnerów ścielących się jej do stóp (choreografia Tomasza Jana Wygody).

Jak to u Wysockiej, jest też zaznaczony wątek kobiecy – jedyny sposób na to, aby kobieta wyrwała się z nędzy, to w tym świecie sprzedać się bogatemu mężczyźnie, tak jest zresztą u Murgera.

Zabawa trwa w najlepsze, gdy Mimi odchodzi na bok i słabnie. Rodolfo odnajduje ją w tłumie i porywa do tańca. Wydaje się nie dostrzegać tego, że dziewczyna jest chora – ani on, ani jego towarzysze.

NIE SĄ ZDOLNI DO DZIAŁANIA

Część druga przynosi zmianę nastroju – to już dzień po katastrofie. Połowę sceny wypełnia konstrukcja tworząca dawniej napis „La Vie Boheme”, teraz przechylona niczym tonący statek, zrujnowana, wystająca ze zwałów śniegu. Widz niemal fizycznie czuje chłód bijący ze sceny pokrytej białym puchem.

Rozpadł się związek Mimi i Rodolfa. Dziewczyna podsłuchuje rozmowę swojego chłopaka z Marcellem, z której dowiaduje się, że jest śmiertelnie chora. Nie wiedziała. Rodolfo ucieka od niej, bo nie potrafi jej pomóc, ale później wracają znów do siebie, przyciągani nawzajem jak magnes. Drugi duet miłosny w premierowym wykonaniu Giustiego i Ferfeckiej zabrzmiał już o niebo lepiej – była w nim mieszanka zalotności, tęsknoty i smutku.

Mimi przyprowadza do domu Musetta, dziewczyna płocha, ale o wielkim sercu (bardzo dobra wokalnie i aktorsko rola Aleksandry Orłowskiej). Rodolfo nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji – zakłada na głowę różową czapkę Mimi i paraduje w niej jak sztubak. Dziewczyna umiera niepostrzeżenie i gdy Rodolfo orientuje się, że Mimi odeszła, dwukrotnie intonuje jej imię. Jest zdruzgotany. Przebudzony.

Jej twarz znów ukazuje się na niemym kolorowym filmie – była i już jej nie ma. To najbardziej wzruszająca scena w spektaklu, łzy napływają do oczu.

Niedojrzałość i krótkowzroczność są de facto tematem przedstawienia Barbary Wysockiej. Reżyserka jednak nie oskarża, ona pokazuje kolejne etapy obojętności, egoizmu płynącego z zajęcia się swoimi małymi sprawami i hołdowania wiecznej bez trosce. Jak mówiła w wywiadzie dla „Wyborczej” inna reżyserka – Maja Kleczewska: „Są to ludzie, którzy oczekują od życia, po pierwsze, komfortu, po drugie, komfortu. Większość z nich nie jest zdolna do żadnych poświęceń. Właściwie nie są nawet zdolni do działania”.

Przypominają się też słowa Joanny Kos-Krauze z niedawnego wywiadu w „Newsweeku”: „Obudzić nas może tylko wstrząs”. ●